



SŁU DZY WIEL KOŚCI

Słowacki bez dygresji to nie jest Słowacki

Rozmowa Wojciecha Kruszewskiego
i Dariusza Pachockiego z Markiem Troszyńskim

Dariusz Pachocki

Spotkaliśmy się w Pałacu Staszica, to miejsce Pana pracy. Jak Pan się tutaj znalazł? To był wybór czy raczej przypadek, że właśnie tutaj zapuścił Pan korzenie naukowe?

Marek Troszyński

W Pałacu Staszica bywałem od zawsze, czyli nawet jeszcze na studiach. Już jako student współpracowałem z innym instytutem – był to Instytut Historii Nauki, Techniki i Oświaty, w którym potem zostałem zatrudniony, a mój doktorat u profesor Zofii Stefanowskiej napisałem, jeszcze pracując w tamtym Instytucie. W Instytucie Badań Literackich jestem natomiast od 2000 roku, no i oczywiście nie można mówić tu o przypadku, ponieważ po doktoracie obronionym w IBL PAN to dzięki mojej promotorce, profesor Stefanowskiej, znalazłem się w kadrach Instytutu. Ale już wcześniej byłem związany z IBL-em na różne sposoby, korzystałem z niezwykle bogatej biblioteki IBL-owskiej, która w pewnych przypadkach ma nawet bogatsze zbiory niż Biblioteka Narodowa. Czuję się związany z tym miejscem... W ogóle wygląda na to, że już do końca moje życie będzie upływało w tym kręgu, między uniwersytetem a IBL-em.

Dariusz Pachocki

A jak wyglądała Pana droga do edytorstwa? Czy to jest historia sprzed IBL-u?

Marek Troszyński

To jest historia bardzo sprzed IBL-u... oczywiście miałem ambicje być autorem nowych, odkrywczych interpretacji i mój pierwszy pomysł to był doktorat, w którym... nie pamiętam, czy był już sformułowany dokładnie temat, ale

Marek Troszyński, Instytut Badań Literackich PAN, kontakt: marek.troszynski@ibl.waw.pl,
ORCID ID: 0000-0002-1825-0513; Wojciech Kruszewski, Katolicki Uniwersytet Lubelski,
kontakt: wojciech.kruszewski@kul.pl, ORCID ID: 0000-0003-1314-4620; Dariusz Pachocki, Katolicki
Uniwersytet Lubelski, kontakt: dariuszp@kul.pl, ORCID ID: 0000-0002-1498-3648

chodziło o przyrodę, naturę u Słowackiego. Pomysł wziął się stąd, że w słynnej monografii Józefa Tretiaka o Słowackim, bardzo w tamtym czasie obrazoburczej (były nawet protesty w tej sprawie, bo Tretiak oceniał Słowackiego bardzo źle, w dodatku utożsamiając autora z podmiotem lirycznym i tak dalej), autor zwrócił uwagę na to, że ten rzekomo nieludzki człowiek, zimny i bez serca, przeklinający kochankę, która nie chciała czy nie mogła go kochać, miał jakiś wyjątkowy kontakt z naturą. Zobaczyłem, że tu rzeczywiście jest coś na rzeczy, a brakuje monografii na temat roli przyrody i idei natury w dziełach, a nawet w życiu Słowackiego. W związku z tym zacząłem czytać Słowackiego całego, od deski do deski. Oczywiście najwięcej do przeczytania z rzeczy wcześniej zaniedbanych było z późnych dzieł Słowackiego. Mało kto je zna... więc to wszystko czytałem w wydaniu Kleinera, no i zapoznając się z tymi późnymi tekstami, nie mogłem nie zauważyć, że właściwie są one skonstruowane przez Kleinera, wiele tak zwanych utworów zostało zbyt dowolnie „skleconych” z różnych fragmentów rękopisów.

Dariusz Pachocki

Może nawet zinterpretowane...

Marek Troszyński

Tak, to takie konstrukty wymuszające przecież styl lektury, interpretację. Czytając tekst niby spójny, co i rusz natykałem się na notatkę, że ten fragment był zapisany w raptularzu Słowackiego, że ten jest z raptularza i tamten z raptularza; w dodatku bywały to różne raptularze, czego wyraźnie nie zaznaczano. Więc to tekst raczej sztucznie „spójny” niż spójny. I tak mnie to zaintrygowało, że to taka sałata, taki wymieszany groch z kapustą. Zacząłem interesować się jednym z raptularzy, tym z czasów już genezyjskich (*Raptularz 1843–1849*, który później opublikowałem), dociekać, o co w tym wszystkim chodzi. Zamówiłem na początek odbitki fotograficzne całego rękopisu raptularza i zacząłem go przeglądać. I wtedy nagle moja cała poukładana biblioteka runęła w gruzy. Zobaczyłem tę niesamowitą przepaść dzielącą wydanie, równiutko na półkach ustawione książki, ten tekst do czytania skomponowany przez edytorów i to, co tu się dzieje w rękopisie. To był dla mnie po prostu szok. Gdy potem przygotowałem indeks, jak teksty z tego raptularza zostały w wydaniach spożytkowane, wyszło na to, że w skrajnym przypadku tekst z jednej strony rękopisu był drukowany w ośmiu miejscach różnych tomów jednego wydania! I tak sobie pomyślałem: „Hola! Tak się nie godzi. Tu dzieje się coś niedobrego”. Tym bardziej że – oczywiście – zacząłem czytać raptularz może nie jak powieść, ale jednak linearnie, i nagle patrzę, że ten podział niby gatunkowo-tematyczny, ileż on tam narobił prawdziwych szkód. Izolowano konteksty – rzecz jasna można powiedzieć, że są to często konteksty przypadkowe, to prawda; Słowacki otwierał pugilares i zapisywał, jak popadło, ale przecież przypadek, który się przydarzył Słowackiemu, jest dla mnie bardziej interesujący i znaczący niż wykoncypowane przyporządkowanie później fragmentów przez edytorów w różne miejsca. Ale też była cała masa przypadków odwrotnych, kiedy to były dzielone zapisy integralne.

Dariusz Pachocki

Bo to jest działanie mechaniczne.

**I tak sobie
pomyślałem: „Hola!
Tak się nie godzi.
Tu dzieje się
coś niedobrego”**

Marek Troszyński

Tak, w stosunku do całości zachowanego notesu na pewno. Tam są bardzo malownicze przykłady tej kompulsywnej niemal manii dzielenia. Na przykład jest brulion listu do Mickiewicza (którego oryginał nie jest znany), a pod nim wpisana najwyraźniej tuż po napisaniu listu taka refleksja: „O Polacy, gdybyście wiedzieli, przez ile mąk serdecznych zdobywa się wodzostwo narodu”. Kleiner listów nie publikował, więc listu nie było, a ten fragmencik został umieszczony w kontekście innych notatek, wzięty jakby w ogóle z powietrza, takie ni stąd ni zowąd westchnięcie.

Dariusz Pachocki

W takich chwilach edytorowi skacze ciśnienie.

Marek Troszyński

Muszę powiedzieć, że zacząłem mieć z tym ogromny problem. Zacząłem drążyć. Konsultowałem się z różnymi uczonymi, Aliną Nowicką-Jezową, Zofią Mitosek, Kazimierzem Bartoszewiczem, ze Stanisławem Makowskim, zacząłem gromadzić i czytać bibliografię, oczywiście dosyć szybko wszedłem na ścieżkę sylw. Największym moim odkryciem i wsparciem był wtedy tekst Claude’a Backvisa o twórczości późnego Słowackiego. Backvis, który nigdy nie miał w ręku *Raptularza*, siedząc sobie w Brukseli, stwierdził, że to jest niemal barokowa sylwa, jakby pisał ją jakiś szlachcic gdzieś w dworku na Kresach. Poczytałem o fenomenie barokowych sylw i porównałem je z *Raptularzem*, bo to rzeczywiście, nawet w zakresie podejmowanych tematów, nadzwyczajnie się zgadza, chociaż sytuacja, mimo że inna, jest poniekąd analogiczna – tam czasy pierwszego bezkrólewia, a tutaj na emigracji bezhołowie totalne – więc jednak cała masa rzeczy nawet od strony tematycznej zawartości sylw się zgadzała. Potem trafiłem na sylwy filozoficzne, na *Stromata* Klemensa Aleksandryjskiego, następnie skojarzyłem, że w *Raptularzu* jest cytat z *Sylva Sylvarum* Bacona i tak dalej. Te przykłady z *Raptularza*, barokowe analogie, wzbudziły we mnie podejrzenie, że raptularzowość miała długą tradycję, o której Słowacki na pewno wiedział, musiał wiedzieć! Wtedy pomyślałem, że jednak niezależnie od tego skrupulatnego i takiego, powiem teraz, topornego przyporządkowania w *Dzieliach*, że jednak ta pozornie chaotyczna całość ma swoje odrębne znaczenie i trzeba ją ocalić. I pokazać. Oczywiście pod koniec mojej drogi konsultacji i tej lekturowej dłubaniny trafiłem do profesor Zofii Stefanowskiej.

Wojciech Kruszewski

Bo pani profesor jest tak naprawdę wymieniana przede wszystkim jako specjalistka od Mickiewicza, choć zajmowała się też Norwidem, ale Pan zajmuje się Słowackim. Jaka była rola profesor Stefanowskiej w tym wszystkim? Czy w ogóle była i jaka ewentualnie? Jeszcze tylko jedną rzecz dopowiem, bo to jest ciekawe, bo to gęsto zaczyna wychodzić, gdy Pan teraz o tym mówi. Pamiętam takie wrażenie: kiedy czyta się teksty profesor Stefanowskiej teraz, to – oprócz pewnej skrupulatności – wychodzi z jej skrupulatności, tej akrybii filologicznej, wrażenie osoby bardzo ostrożnej w sądach, ważącej słowa.

Marek Troszyński

Tak. I bardzo mitygującej.

Wojciech Kruszewski

No więc jak ona odnosiła się do tego Kleinera?

Marek Troszyński

Do pewnego stopnia czy też momentu broniła go... Przestrzegła mnie przed prezentyzmem – że Kleiner edytował tak, jak to się wtedy robiło. Że trzeba patrzeć z perspektywy historycznej na zasługi. Oczywiście byłem wtedy młody, może nie bardzo młody, ale młody, może nie miałem piany na ustach, ale byłem zbulwersowany. Nie mieściło mi się w głowie, że była taka szkoła naukowa, która na to zezwalała. Wydaje mi się, że profesor Stefanowska zafascynowała moja ścieżka i bardzo mnie w to pchała. Przyszedłem do pani profesor krótko po śmierci profesora Stefana Treugutta; oni w mieszkaniu mieli biurko w biurko, tu z jednej strony był Słowacki, a tam Mickiewicz (i Norwid) i jak zaproponowałem tego Słowackiego, to *toutes proportions gardées* znowu pojawił się ten dialog. Ona jest od Mickiewicza, a nagle ktoś proponuje Słowackiego, relatywnie młody i zapalony, roznamiętniony, pogubiony, bo byłem bardzo pogubiony w tym wszystkim, nie miałem żadnego doświadczenia edytorskiego, no więc z panią profesor omawiałem wszystkie te trudne rzeczy. Najtrudniejszą sprawą była kwestia sposobu edycji *Raptularza* jako całości i przechodziłem z tym rozmaite koleje. Pani profesor była, tak jak Pan zauważył, bardzo ostrożna i z wiekiem lepiej rozumiem jej postawę. Na przykład kiedy rozmawialiśmy o jej pracach edytorskich, o wierszach Mickiewicza w rękopisach, które wydawała z Czesławem Zgorzelskim, to mówiła, że to może by zrobiła tak i tak, ale przecież Pigoń robił inaczej. Odpowiadam jej – no to trzeba to zmienić. W końcu profesor Stefanowska zostawiła niektóre rozwiązania (co prawda techniczne) Pigionia po staremu, ale tu też działała jeszcze inna ukryta zasada, którą przejąłem od pani profesor. Jeżeli nowość, którą chcesz wprowadzić, nie ma naprawdę zasadniczego znaczenia, to właściwie nie ma sensu stwarzać nowych bytów tylko po to, żeby było inaczej, po mojemu. Inne wcale nie znaczy, że lepsze.

Wojciech Kruszewski

Jak Pan uważa, dlaczego tak jest? Czy to specyficznie rozumiana odpowiedzialność za obecność dzieła autora w kulturze? Skąd ta uległość, tak bym to nazwał, wobec tradycji edytorskiej?

Marek Troszyński

Wielki szacunek dla poprzedników. I wydaje mi się, że profesor Stefanowska próbowała to mi zaszcześcić. Gdy przyjmuję stanowisko, że Kleiner dokonał ogromnej roboty i częściowo takiej, z której właściwie powrotu nie ma. Dlatego też między innymi, że ten jego układ został w znacznej mierze spetryfikowany w archiwalnym układzie rękopisów Słowackiego w Ossolineum. Idąc ścieżką Kleinera, trzeba ją po prostu ulepszać, to znaczy, po pierwsze, na pewno trzeba unaocznnić i ile się da zlikwidować całą masę tych irytujących podziałów. Nawet jeśli są dwa oddzielne dzieła, trzeba je pokazać w materialnym sąsiedztwie, nie wolno bać się drukowania kontekstów szerszych. To konieczne, trzeba nawet dwa razy powtórzyć pewne całości, respektując sąsiedztwo rękopiśmienne. Odsyłacze do kontekstów w innych miejscach to jest nieskuteczna rzecz, nikt tego nie śledzi... to należy dać na jednej stronie czy na sąsiadujących kartkach, w obrębie jednego tomu, bo inaczej czytelnikowi umyka istota. Szacunek dla Kleinera mam ogromny i też biorę pod uwagę, że jeśli chodzi o wydanie *Dzieł wszystkich*, to jednak zmarł przed

Najtrudniejszą
sprawą była kwestia
sposobu edycji
Raptularza
jako całości
i przechodziłem
z tym rozmaite
koleje

wydaniem ostatnich tomów i edycję kończył Władysław Floryan. Nie chcę mówić źle o Floryanie czy rozsądzać winy, ale tam znalazły się takie rzeczy, właśnie wydaje mi się decyzje podjęte już po śmierci Kleinera, zupełnie zdumiewające... W *Samuelu Zborowskim* nagle wyjmuje się fragment dramatu i zastępuje go wierszem wpisanym w albumie, który nawet ma inne wyrazy. Tu: Duch życia to „rycerz” dumny, a tam – Duch życia to „anioł” dumny. To „anioł” było w sztambuchu, pisane do kobiety i jakoś inaczej tam grało, a w dramacie był „rycerz”... i tutaj zadziało coś takiego, na co dzisiaj nie ma już chyba miejsca, to znaczy mamy tu takie „estetyczne” podejście: edytor uważał, że fragment z aniołem jest „piękniej” dopracowany i że należy nim zastąpić ten „brzydszy”.

Wojciech Kruszewski

Czy mogę? Przepraszam, ale właściwie przyjechałem tu tylko z tym jednym pytaniem, które teraz zadam. Skoro już jesteśmy przy Słowackim, tak mocno Pan w to wszedł, to moje pytanie jest następujące: od lat dziewięćdziesiątych do dzisiaj, gdy próbuję patrzeć na to, co wydarzyło się w edytorstwie, to wydaje mi się, że dla Słowackiego zrobiono najwięcej, to znaczy oprócz Pana prac, oprócz prac profesor Marii Kalinowskiej była jeszcze jedna próba Zbigniewa Przychodniaka i Jacka Brzozowskiego. Nie wiem, czy Panowie się zgodzicie, ale dla Słowackiego zrobiono, właśnie zrobiono, próbowano zrobić najwięcej.

Tutaj natomiast
rzeczywiście
pokazuje się
jakby nowa twarz
Słowackiego,
jakiś inny Słowacki

Marek Troszyński

Ale dlaczego? Dlatego, że tu był problem.

Wojciech Kruszewski

Czyli rozumiem to tak, Pańską odpowiedź: dlatego Słowacki, bo trzeba się było w końcu przeciwstawić Kleinerowi.

Marek Troszyński

Nie chcę tutaj podbijać sobie bębenka, ale wydaje mi się, że moje wydanie *Raptularza 1843–1849* unaocznilo bardzo wyraźnie anachronizm wcześniejszych edycji, została otwarta puszka Pandory i wylazła cała masa rzeczy pokazujących, że tam jest coś do zrobienia. Ani przy Norwidzie, ani przy Mickiewiczu, ani przy Krasińskim nie mamy tego typu problemów edytorskich, można (i trzeba) robić wydania nowe, ale takich zasadniczych zmian nie będzie. Tutaj natomiast rzeczywiście pokazuje się jakby nowa twarz Słowackiego, jakiś inny Słowacki. Nie wiem, czy chcę powiedzieć prawdziwszy, ale trochę bardziej swój, trochę mniej edytorów. Oczywiście zawsze będzie edytorów, ale chodzi o próbę ocalenia specyfiki Słowackiego, jego sposobu tworzenia, właśnie tego gestu otwierania notesu, który nosił przy sobie, i pisanie na chybił trafił. On niemal zawsze nosił ze sobą pugilares i ołówek. U niego znajdziemy prawdziwy pokaz dzieła otwartego w zupełnie najnowocześniejszym znaczeniu, czego nie można było się spodziewać po lekturze tekstów uporządkowanych w wydaniach *Dzieł*. Może jeszcze dodam, żeby nie zabrzmiało to zbyt pysznie z mojej strony, że w wydaniu Kleinera, we wstępie, zawsze znajdował się sumaryczny opis zawartości poszczególnych kart rękopisu. Poszczególne karty, a nawet fragmenty kart, były drukowane w różnych miejscach, ale taki indeks w jednym miejscu się znajdował. Jakby ktoś usiadł z tym indeksem i tomami w wydaniu Kleinera, to – czytając, skacząc ruchem konika szachowego – wszystko by sobie

skonstruował, ale odnośniki to bardzo słabe narzędzie, są niewygodne dla czytelnika. Może prawie wszystko – nie wszystko by zrekonstruował, bo przy takiej technice pracy może coś umknąć. No i umknęło trochę tekstów... Chociaż tu właściwie trzeba brać pod uwagę czytelnika specjalistycznego czy wręcz użytkownika, bo to są oczywiście rzeczy interesujące dla pewnej ograniczonej publiczności. Taki „indeks” to był u Kleinera, tyle że tam nie mogło obejść się bez błędów, i to czasem poważnych. Sporządzając spis tych kart raptularza i konfrontując z *praxis* wydania Kleinera, właśnie w ten sposób znalazłem informację, że pewien tekst jest fragmentem *Króla-Ducha*, że tam jest jego miejsce i tam będzie wydrukowany. Wielokrotnie przeszukiwałem wszystkie wydania *Króla-Ducha* – i nie znalazłem go w żadnym. Tekst skutecznie umknął wszystkim po kolei edytorom, znikł z raptularza szczęśliwie ocalonego do dzisiejszych czasów i dostępnego we wrocławskim Ossolineum. A przypisanie do *Króla-Ducha* też było bardzo powierzchowne – były to po prostu oktawy z tego okresu, więc... I tak umknął cały, prawie cztery oktawy – wiersz, jeden z opisów doświadczenia „wizji ognistej”. Przy próbie spojrzenia na raptularz jako całość stało się jasne, że ta praca porządkująca może prowadzić nie tylko do utraty pewnych rzeczywistych całości, ale także przy okazji można pominąć coś ważnego. Nawiasem mówiąc, na innej karcie też znajdował się fragment niepublikowanej strofy *Króla-Ducha*. Miałem więc dwa poważne odkrycia filologiczne, nie mówiąc już o drobnych lekcjach, bo tam lekcji odmiennych było bardzo dużo.

Czytania rękopisu dziewiętnastowiecznego uczyłem się na Słowackim i to było na początku dosyć trudne. Na przykład było napisane „rózane”, a ja czytałem „szczęsne”, takie historie. Ale ponieważ uczyłem się jeszcze pisać piórem, więc główne zasady kaligraficzne znałem i to znacznie uprościło sprawę. Słowacki rzeczywiście pisał kaligraficznie i później to pismo, gdy robiło się bardziej kursywne, to jednak trzymało pewne zasady, które obowiązują w kaligrafii. Litera mogła wyglądać rozmaicie, ale prawie zawsze można było w niej znaleźć osnowę ułatwiającą identyfikację. Na przykład przy *l* jest pętelka, a przy *d* nie ma pętelki, a to bardzo dobra wskazówka. Tutaj sprawa jest dużo prostsza niż w przypadku Mickiewicza, który, jak sam twierdził, bazgrał jak kura pazurem.

Czytania rękopisu
dziewiętnastowiecznego
uczyłem się
na Słowackim
i to było na początku
dosyć trudne

Dariusz Pachocki

Wróć do pewnej kwestii, bo bardzo mnie to zajęło. Chciałbym zapytać, czy nie był Pan zatrwożony: raptularz Słowackiego na dzień dobry. Taki rękopis może przyprawić o ból głowy. Czy umiałby Pan przypomnieć sobie tamten moment i swoje odczucia?

Marek Troszyński

Oczywiście, że byłem przerażony. Może przerażony to za duże słowo, ale byłem pogubiony. Na studiach polonistycznych takimi rzeczami się nie zajmowano. Jednak moja ambicja i w końcu rosnące przekonanie, że to jest wielka rzecz, którą trzeba zrobić, po prostu mi w tym dopomogły. I opieka pani profesor Stefanowskiej. Małych i dużych problemów, z którymi musiałem się zmierzyć, było bardzo dużo. Na samym początku, gdy to wszystko z panią profesor omawiałem i przyniosłem jej moje pierwsze próby swojego pomysłu, to, jak chcę to zrobić, to pani profesor się zachnęła i powiedziała: „No tak, ale tak to się przecież nie robi”. Pomyślałem wtedy: „No nie robi się, ale nie było na czym tego robić”. I w rezultacie przekreśliłem to wszystko, wprowadziłem konserwatywne rozwiązania, przesunąłem wersje wykreślone do objaśnień i tak dalej. Po pół roku tej żmudnej dłubaniny znowu pokazałem wszystko pani profesor, a ona na to: „Nie no, ale tak to wszyscy robią”. Wtedy opadły mi ręce. Tym bardziej że nie

pomyślałem, aby zachować poprzednią wersję... I znów wszystko odkręcałem (*śmiech*). Teraz myślę, że pani profesor chciała, żebym jej pokazał, że mam głębokie przekonanie, że tak to chcę zrobić, że tak ma być i basta.

Wojciech Kruszewski

Pedagogika z jej strony.

Marek Troszyński

Tak, tak to teraz odbieram.

Dariusz Pachocki

Na ile ta relacja była wolnościowa?

Marek Troszyński

Była bardzo wolnościowa. Pani profesor nie wtrącała się prawie do niczego. Miała zawsze jedno główne zastrzeżenie do moich wszystkich tekstów, później również – że trzeba je „uspokoić”. Zupełnie tego nie widziałem, że te teksty są, nie wiem, nerwowe, zbyt emocjonalne, ale muszę powiedzieć, że „uspokajałem” te teksty na tyle, na ile potrafiłem.

Dariusz Pachocki

Na czym polega „uspokajanie” tekstów w edytorstwie?

Marek Troszyński

Tu chodzi o teksty komentarzy... Dokładnie nie pamiętam, może tam były wykrzykniki... obelg nie było, ale był wyraz mojego emocjonalnego podejścia do tekstu. Nie potrafiłem bez emocji – jak chirurg – do tego podejść, naprawdę tym żyłem. Jak żyłem, tak pisałem, to byłem ja. Nie chciałem kiedyś uwzględnić uwag pani profesor, uważałem, że nie ma racji, a nawet jeśli ma, to ja mam swoją rację. Mimo że byłem o tym przekonany, było mi z tym bardzo źle. Pamiętam takie dwa przypadki. Raz – a to był tekst, który wygłaszałem na jakiejś konferencji – pani profesor go wysłuchała i wtedy powiedziała: „Wie Pan, miał Pan rację, że to jest dobre”. Wydaje mi się, że to była też kwestia tego, że gdy pani profesor ten tekst usłyszała, to on zagrał inaczej. Tekst wygłaszany przez jego autora bardziej przekonuje do siebie, niż gdy jest na papierze, oddzielony od autora; nie wiadomo, jak wyglądam, jak mówię; na żywo wszystko nabiera autentyczności, ten nerw nie jest sztucznie kreowany, tylko prawdziwy. To były przyjemne momenty, ale raz miałem traumatyczną wręcz chwilę, gdy dwa dni przed wyjazdem na konferencję pani profesor powiedziała mi przez telefon: „Panie Marku, średnio mi się podoba ten tekst. Nie będę owijała w bawełnę, niech Pan napisze coś innego”. Dwa dni przed konferencją! Wtedy naprawdę chwyciłem się za łeb. Nie! To w ogóle jest niemożliwe. To była konferencja w Wilnie i pani profesor też tam była. Miałem jej to prosto w twarz, to, co tak koszmarnie skrytykowała, wygłosić... No i stała się tam rzecz przedziwna. Nie chodzi o to, że pani profesor moje wystąpienie zaakceptowała, ale w dyskusji pojawiły się dwa głosy dość krytyczne i wtedy pani profesor wstała i zaczęła mnie bronić. W dodatku z taką ironią wobec tych, którym coś tam się nie podobało. Byłem i zaskoczony, i bardzo wzruszony.

Wojciech Kruszewski

Z tego, co Pan mówi, wynika, że kluczowy w formowaniu edytora jest mistrz, istotne są rozmowy i spory.

Marek Troszyński

Tak, zdecydowanie.

Wojciech Kruszewski

Chciałbym zapytać o coś innego, ale w tym kręgu pozostać. Pana prace bardzo dobrze współgrają z pewną zmianą, która następuje w metodologii literaturoznawczej, z tym, co Mateusz Antoniuk nazwał u nas procesem tekstotwórczym, ekspansją tych metod z Zachodu, które przysły do nas wraz z krytyką genezy. I gdy pytałem o te rzeczy, to powiedziano mi, że jest u nas jedna osoba, która w to weszła, choć nie od strony metody, ale znalazła się w podobnym miejscu. I wskazano mi Pana. I to się zgadza. Pan w swoich pracach mocno akcentuje tę procesualność, niegotowy tekst, skrzystalizowany, czego dobrym przykładem jest choćby raptularz i *Alchemia rękopisu*. Ale czy to jest właściwe stawianie sprawy, że w Pana przypadku droga, o ile się Pan zgodzi, że to jest istotna rzecz w Pana warsztacie naukowym, ta koncentracja na twórczym procesie tekstu, że Pańska droga była inna, bo nie wyszedł Pan od strony metody, tylko od strony konkretnych rękopisów, konkretnych zapisów i problemów? Jakie jest Pana zdanie? Pytam o to, bo pojawiło się na początku Pana wypowiedzi stwierdzenie, że trochę inaczej nas kiedyś formowano na uniwersytetach, było to kształcenie mocno strukturalistyczne.

Marek Troszyński

Tak, w przypadku mojego pokolenia wykształcenie polonistyczne było absolutnie strukturalistyczne. Aczkolwiek po publikacji *Raptularza 1843–1849* zostałem okrzyknięty dekonstrukcjonistą, chociaż mówiąc prawdę, tylko rozbiłem struktury będące dla mnie logicznie nieakceptowalne i pokazałem, że dzieło może mieć strukturę mniej oczywistą. Koncepcja dzieła odnosząca się do zestawu form obecnych w indeksie terminów literackich to mało. Dzieło można rozumieć także etymologicznie jako wytwór, efekt działania... Wydawało mi się, że to, co zrobiono (w pewnych aspektach) Słowackiemu, było zafałszowaniem, krzywdą, której chciałem jakoś zadośćuczynić. Więc oczywiście winien temu wszystkiemu jest Słowacki, który mnie sobie znalazł, tak myślę, że on sobie mnie znalazł i zauroczył, jak pensjonarkę... Były momenty, kiedy czułem jego obecność, jego osobowość i bardzo mi ona przypadła do gustu.

Wojciech Kruszewski

Czyli człowieka.

Marek Troszyński

Tak, człowieka.

Wojciech Kruszewski

W rękopisach.

**Dzieło można
rozumieć także
etymologicznie
jako wytwór,
efekt działania...**

Marek Troszyński

Tak. W każdym razie zaczęło się od Słowackiego i od tego, co on zostawił w rękopisach, to jest teraz prawie osiemdziesiąt procent tego stogu siana, z którego wybierano czasem trochę na oślep.

Wojciech Kruszewski

Nie pamiętam dokładnie, ale chyba opublikowanych wierszy za życia jest około dwudziestu.

Marek Troszyński

Tak, czy nawet osiemnaście, a jest ich sporo ponad dwieście. Słowacki jest taki, że w każdej epoce okazuje się jakimś... nie nowatorem, ale te wszystkie nowinki doskonale doń pasują. O ile nie są one tak ważne przy Mickiewiczu, to przy Słowackim to cały czas się dzieje. Najpierw się okazało, że jest wspaniałym przykładem intertekstowości. Potem pojawił się hipertekst. Tutaj mamy wszystko – łączenia *Beniowskiego* z *Królem-Duchem*, prawie wszystkiego ze wszystkim. On przynosi w darze te zapisy, które działają jak dzisiejsze linki w komputerze. Posługiwanie się terminem „hipertekst” jest oczywiście zupełnie ahistoryczne, ale dzięki temu można dzisiejszym generacjom przedstawić to zrozumiałym i nowoczesnym językiem, że to jest jednak właściwość niespotykana u innych twórców w tamtej epoce i w takim natężeniu. On był szalenie eksperymentatorski, to eksperymentatorstwo było na bardzo wysokim poziomie.

Wojciech Kruszewski

To się po prostu pleni.

Marek Troszyński

Tak, to są takie rzeczy, które trudno nazwać przedtekstami, skoro brak potekstów, tekstów gotowych... To są brudnopisy i tutaj ten proces jest, to chyba będzie kiepskie terminologicznie, gdy powiem „horyzontalny”, że on nie ma kolejnych warstw, one są wszystkie na tym samym poziomie. Są zmiany stylistyczne, mogą być fragmenty większe, uzupełniające, ale nie prowadzą one do wytworzenia następnej warstwy, którą się dopracowuje, dlatego że chce się dojść do formy ostatecznej – drukowalnej, czytelnej, czystej.

Wojciech Kruszewski

To co Pan z tym zrobi w swojej edycji? Jak Pan wyważy to wszystko? Oczekiwania są takie, jakie są, że to będzie nowa edycja krytyczna.

Marek Troszyński

Jeżeli chodzi o wydanie całości, to jednak myślenie musi być trochę inne, trochę bardziej klasyczne, ale przełamane tym wszystkim, co już dzisiaj wiemy. Do tego, o czym mówimy, potrzebne są cząstkowe „wydania specjalne”. Oczywiście są problemy, które będą musiały być przemyślane w odniesieniu do każdego tekstu, do każdego tomu osobno, przy czym będą pewne rozwiązania wspólne. Jak już powiedziałem, trzeba ograniczyć odsyłacze, choć rzecz jasna odsyłania tam będą, ale generalnie zachowywanie konteks-

tów będzie dużo bogatsze, tak jak to zrobiłem w wydaniu korespondencji. Słowacki bez dygresji to nie jest przecież Słowacki. I to są „dygresje” różnych autorów, dopiski siostry przyrodniej, wuja, listy pisane przez przyjaciół, to wszystko jest niesamowicie ciekawe. Albo list napisany na kopercie, a co było w tej kopercie? To się czasem zachowało. Jest list wysyłany pod ten sam adres i poniekąd w tej samej sprawie przez Słowackiego i jego przyjaciela – tego przecież nie można rozdzielać pod pretekstem, że to mają być listy Słowackiego. Rozszerzenie kontekstów to jeden ze sposobów zniwelowania tych drastycznych często podziałów w wydaniu Kleinera.

Dariusz Pachocki

Skoro jesteśmy już przy listach, to chciałbym o pewną rzecz dopytać. Usłyszałem na jednym z Pana wykładów, że nie do końca ufa Pan listom jako źródłu historycznemu. Czy mógłby Pan powiedzieć coś więcej na ten temat? Świadomość perspektywy antropologicznej, szukanie człowieka w listach jest ważne i ciekawe, ale jak się ma do tego źródło?

Marek Troszyński

Profesor Stefanowska uważała mnie za germanofona (dużo powiedziane, ale ogólnie się zgadzam) i kiedy organizowała spotkanie o listach, przegoniła mnie przez jakiś gruby buch z niemieckiej konferencji na temat korespondencji. No i czego się tam dowiedziałem? Był tam taki przykład, o ile sobie przypominam, z Lessinga. Lessing jak szalony pisał listy, zachowało się kilkanaście listów napisanych jednego dnia. W jednym z nich, do matki, pisze: wreszcie jestem zdrowy, nic mi nie dolega, czuję się świetnie i tak dalej. Z tego samego dnia zachował się też list do wydawcy, w którym dla odmiany narzeka: kiepsko mi idzie, nie mam pieniędzy na lekarstwa i doktorów. W końcu prosi o zaliczkę. Wyobraźmy sobie, że jeden z tych listów zaginął. To wtedy wyjdzie „potwierdzenie”, że był akurat zdrowy, albo – gdyby zaginął ten drugi list – można by wywnioskować, że w tym czasie kiepsko mu się wiodło ze zdrowiem. W każdym razie list jako źródło informacji, bez krzyżowej i dokładnej konfrontacji z innymi przekazami, to naprawdę grunt bardzo, bardzo grząski. Trzeba być także ostrożnym z nastawieniem emocjonalnym. Inny przykład: do konwencji listu należy między innymi budowanie relacji z adresatem – stąd przesadne wyrazy uwielbienia dla niego, kontrastowane z niezbyt pochlebnymi opiniami o innych. A to wszystko to tylko techniki podtrzymywania więzi – w liście do obgadywanego byłoby całkiem odwrotnie! Listy tak chętnie eksplorowane i pod kątem faktograficznym, i oceny rozmaitych relacji to naprawdę rzecz, która wymaga ogromnej ostrożności, i z ogromną nieufnością należy podchodzić do tej listowej faktografii. Tego też mnie nauczyła pani profesor Stefanowska.

Dariusz Pachocki

Myśli Pan, że to jest, czy powinno być, zadanie edytora, żeby przy edycji listów zrobić tego typu testy krzyżowe i – w razie potrzeby – ostrzec czytelnika? A może to powinność odbiorcy?

Marek Troszyński

To jest ciekawe i trudne pytanie. Wydaje mi się, że czytelnika niefachowego to nie obchodzi. W przypadkach drastycznych takie rzeczy edytor powinien wyjaśnić w przypisie, ewentualnie nawet we wstępie powinien zaznaczyć, że szczerść listów jest ograniczo-

na, jest moderowana nieznaną dziś konwencją. W jednym ze swoich tekstów zrobiłem porównanie, na które nikt wcześniej nie wpadł. Chodzi o list, w którym Słowacki pisze dobitnie: a teraz, matko, przepisuję ci dosłownie z dziennika, który piszę dla siebie, na dowód swojej szczerości, nic nie zmieniając; nikomu tego nie pokazuj. No i wyszło sztyldło z wora, bo akurat źródłowy zapis z dziennika zachował się i można było sprawdzić, że tekst z dziennika, oprócz kilku początkowych słów, jest nie dosłownie przepisywany, tylko przeredagowywany, całe passusy są takie same, ale potem mamy słowa i epizody ominięte, przeinaczone, których matce chciał oszczędzić. Więc to jest taka właśnie dziennikowo-korespondencyjna szczerość.

Wojciech Kruszewski

Wobec matki ma się pewne obowiązki, nie tylko polegają one na tym, że trzeba wysłać list, a co w tym liście jest, to jest konwencja korespondencyjna.

Marek Troszyński

Ale dzisiaj się tego nie rozumie. Jest jeszcze konwencja sentymentalno-romantyczna: kochany, godny kochania chłopiec, a dzisiaj od razu „Aaaa! Mamy go”. Trzeba go natychmiast „wyjść z szafy”! Dżender i te sprawy...

Wojciech Kruszewski

Wyobraża Pan sobie, że wywiad z Panem ukazuje się pod tytułem *Dżender i te sprawy*?

Marek Troszyński

Chodzi o to, że nie można rozkodowywać listów pisanych wtedy dzisiejszym językiem. Kiedy miałem jeszcze zajęcia na uniwersytecie i czytaliśmy te stare teksty, to widziałem, jak studenci potykali się na takich słowach jak „tudzież”... Ale zwracałem też uwagę na to, że pozornie znane, pospolite słowa mają teraz zupełnie inne albo trochę inne znaczenie. Gdy na przykład mówimy „szybko” – „zrób to szybko”, „skontaktuj się z nim szybko”. Kiedyś mogło to trwać dwa tygodnie, zanim prześlesz wiadomość z Krzemienia do Londynu, a dzisiaj bierzesz telefon i dzwonisz. Cała sieć pól semantycznych takich zwyczajnych słów jest po prostu poprzysuwana w różne strony. Tak więc tu naprawdę potrzebna jest duża ostrożność i uważam, że wiele z tych pseudoodkryć i dzisiejszych rewelacji dotyczących choćby relacji Słowackiego i Krasieńskiego opiera się na dekodowaniu współcześnie tekstów pisanych w zupełnie innej konwencji.

Dariusz Pachocki

Sądzi Pan, że to nieporozumienie wynika, powiedzmy delikatnie, z pewnej nieświadomości? Czy może to jest celowe?

Marek Troszyński

Wynika to i z tego, i z tego. Z niedouczenia na pewno, bo przy okazji pojawia się zazwyczaj masa poważnych, dyskwalifikujących wręcz błędów merytorycznych, a więc jest to erudycyjnie kulawe i oczywiście naciągane, pod z góry potrzebną tezę.

Dariusz Pachocki

Przychodzą też różne mody, prawda?

Marek Troszyński

Tak.

Dariusz Pachocki

I najpierw prowadzimy badania w takiej optyce, potem w innej...

Marek Troszyński

Zwrot ku rzeczy, zwrot taki, zwrot siaki i huzia na Józia.

Dariusz Pachocki

Słowacki postkolonialny...

Marek Troszyński

Profesor Hieronim Grała świetnie ten pseudopostkolonializm Słowackiego zweryfikował.

Wojciech Kruszewski

Gdyby Pan, zaznaczam, że nie jest to żadna prowokacja z mojej strony, proszę tego tak nie odbierać, ale mówię przecież do edytora aktywnego, który przygotowuje kolejną edycję Słowackiego, pierwszą, której integralną częścią będą listy, a więc gdyby Pan miał poszerzyć trochę pole widzenia, to czy Pańskim zdaniem są jeszcze jakieś pilne rzeczy do zrobienia w edytorstwie w Polsce? Pilne.

Marek Troszyński

Kurczę blade...

Wojciech Kruszewski

To nie musi być jakiś konkretny autor, konkretna rzecz czy konkretna spuścizna, to mogą być konkretne przedsięwzięcia. Krótko mówiąc, jak Pan patrzy na rozwój edytorstwa przez ostatnie trzydzieści, czterdzieści lat? Różnie możemy to oceniać, ale czy jest coś, co powinno być zrobione, ale nikt się do tego nie pali?

Marek Troszyński

Nic mi do głowy w tej chwili nie przychodzi. Wydaje mi się, że nie ma dzisiaj takich drastycznych sytuacji, tak jak było kiedyś z Norwidem. Czytając skany dawnych wydań w internecie, miałem oczywiście pomysły, że pewne rzeczy, które wydawały mi się niezwykłe, interesujące, trzeba wydać na nowo (jak *Fantastyczne przygody barona Brambeusa* czy *Posłuchanie u Lucypera* Józefa Sękowskiego), nawet proponowałem to w wydawnictwie, ale bezskutecznie (kto to kupi?). Po jakimś czasie zauważyłem, że książki te ukazały się w Białymstoku w serii „Czarny Romantyzm”, podobnie jak *Narracje* Władysława Słowackiego, które też uważałem za godne reedycji. Jest oczywiście garstka szaleńców, ale to zdecydowanie za mało, by dla nich opublikować na przykład przynajmniej niektóre powieści Michała Czajkowskiego.

Wojciech Kruszewski

No ale Kochanowski jest nieskończony.

Marek Troszyński

Kochanowski jest nieskończony, tak, ale to nie jest drastyczna luka, to znaczy ten Kochanowski jakoś istnieje, tu nie ma tej zapaści, jaka była przy odkrywaniu Norwida. Teraz można zaryzykować, że na nowo odkrywany jest Słowacki... Tak jest z mojego punktu widzenia, kiedy siedzę w tym grajdole z samym Słowackim, a nie mam już zajęć na uniwersytecie. Mam świadomość, że nie byłem dobrym wykładowcą (wiem, co mówię, bo widziałem świetnych wykładowców w akcji), kosztowało mnie to bardzo dużo wysiłku... Boję się publiczności, bardzo się tym stresuję, był nawet czas, że miałem niemal ochotę gołnąć setkę tuż przed wejściem na zajęcia, żeby na początek złapać *flow*, potem pewnie by już jakoś łatwiej szło... Ale mimo to doceniałem dydaktykę, zajęcia uniwersyteckie pozwalały mi zajmować się tematami, po które sam bym nie sięgnął, a tak, przymuszony, przez tydzień musiałem coś studiować, w każdym razie nie Słowackiego, i to mnie wypychało siłą do programu, który miałem do zrealizowania, musiałem nacytać się tego, o czym nie miałem pojęcia, a to wspaniale rozszerza horyzonty.

Dariusz Pachocki

Czyli to raczej zaleta niż wada?

Marek Troszyński

To jest zaleta. Oczywiście, że tak, to zaleta.

Wojciech Kruszewski

Rozumiem, że to, co wraca czasami w naszej rozmowie, to musi być dydaktyka.

Dariusz Pachocki

Dydaktyka pięknie się spina z działaniami edytorskimi.

Marek Troszyński

Tak, ale uważam, że nie tyle trzeba mieć wykształcenie jako dydaktyk, ile trzeba to po prostu umieć, coś takiego ma się we krwi. Naprawdę istnieją urodzeni pedagodzy, nie mają żadnych dyplomów, studiów pedagogicznych. Znam sporo takich osób po różnych kierunkach studiów. Ja tego nie potrafię, ale ważny jest ten kontakt z nową generacją i ten ich odbiór czasami bardzo zaskakujący, konfrontacja z ich pytaniami, które często wydają się nie na miejscu czy wręcz głupie...

Wojciech Kruszewski

Ale one bardzo często poszerzają perspektywy.

Marek Troszyński

Tak właśnie się dzieje! Kiedyś, gdy rozmawialiśmy o *Królu-Duchu*, pewna studentka zaczęła się rozwodzić nad miłością Popiela, jaka tam była moc i energia, jaki maksymalizm... Pomyślałem – no jeżeli tyle zrozumiała z *Króla-Ducha*... Ale zaraz przyszła refleksja: to przecież tam jest! A jak jest, to nie przypadkiem, a ja nie przywiązywałem do tego wagi... Wydaje mi się, że w dydaktykę trzeba wejść zaraz po studiach, gdy się zaczyna pracować, a nie jak ja po dwudziestu czy trzydziestu latach... Rozziew generacyjny jest już ogromny i nawiązanie kontaktu bardzo utrudnione. Miałem satysfakcję

z niektórych zajęć, ale ta przepaść generacyjna, trudne porozumienie nad pokoleniami dawały się bardzo we znaki.

Wojciech Kruszewski

A gdyby zstąpić jeszcze o poziom niżej w edukacji... Czy wyobraża sobie Pan taką sytuację, że zaczynamy aplikować wyniki naszych badań edytorskich na niższym poziomie, na przykład wydajemy podręcznik, Pan się uśmiecha, więc pewnie Pan wie, w jaką stronę idę, wydajemy podręcznik dla liceów, podręcznik dotyczący romantyzmu i tam nie ma Norwida, który jest autorem wiersza *Jak*, tego wiersza nie ma w *Vade-mecum*, to jest fragment *A Dorio ad Phrygium*, to znaczy czy Pan sobie wyobraża, że nagle pojawia się inny Słowacki, nie Słowacki-autor wierszy, tylko Słowacki-autor tych tekstów, które się plenią. Czy to jest Pańskim zdaniem do zrobienia? Może pora wreszcie pokazać nawet na poziomie szkolnym zupełnie inną literaturę, która jest dostępna.

Marek Troszyński

Można się wzorować na publikacji Bizana i Hertza *Ja Orfeusz* – tam właśnie zostały powymowane fragmenty z dramatów, bo czasami było tak, że nie wiadomo, czy jest to wiersz na marginesie, czy jest to fragment monologu. Są takie momenty i tam to zostało wydobyte ze środka, nawet z *Odpowiedzi na „Psalmy przyszłości”*, takie fragmenty, które pokazują zupełnie innego Słowackiego. I oni to zrobili pół wieku temu! Myślę, że takie odkrycia spoza banalnie płynącego nurtu oczywistości mogłyby odegrać pozytywną rolę.

Wojciech Kruszewski

Czyli tak naprawdę paraliżuje nas rozkład dydaktyki szkolnej. Te programy nauczania gniją, tam po prostu nie ma już literatury, mówiąc krótko. Nie ma miejsca na uczenie literatury.

Marek Troszyński

Też nad tym boleję, bo przecież jednak żyję w jakimś społeczeństwie i widzę, jak te współczesne technologie niszczą język, komunikację: krótkie komunikaty, krótka budowa zdania, kto dziś zbuduje zdanie wielokrotnie podrzędnie złożone? Ono jest do niczego niepotrzebne, bo jest potrzebne do rozmów ważnych, istotnych. Gdy się rozmawia poważnie o skomplikowanych sprawach, o życiu, o śmierci, o miłości, o rozmaitych rzeczach nieprostych, to jednak trzeba mieć szersze kompetencje językowe. Tymczasem język zeszedł do takiego poziomu... anglicyzmy, komunikaty skrótowe, pojedyncze słowa lub zdania pojedyncze. I tak to kulawo idzie.

Dariusz Pachocki

Mam jeszcze dwa pytania. Czy powinny być jakieś rozwiązania prawne, jakieś „kolczykowanie” rękopisów, żebyśmy wiedzieli, gdzie coś się znalazło i na jakim etapie zniknęło?

Marek Troszyński

W tej materii moje doświadczenie opiera się głównie na archiwaliach Słowackiego. W zasadzie oprócz tego, że rękopisy zostały spalone tutaj, w bibliotece Zamoyskich, i że te wywiezione do Zagrodna też częściowo uległy rozproszению, jak bodaj fragmenty rękopisu *Horsztyńskiego*, to poginęły takie teksty, które były znane, były jeszcze dostępne,

Dostęp
do artefaktów
jest kluczowy,
rękopisy mają
swoje tajemnice,
które ujawnią
wzrokowi
człowieka,
a nie obiektywowi
kamery czy
szybce skanera

gdy sporządzali swoje wydanie Manfred Kridl i Leon Piwiński. Teraz to już przepadło. To był może czas wyjątkowy, szczególny, wojna i tak dalej, ale czy można powiedzieć, że nic takiego już nam nie grozi? Dlatego gromadzenie rękopisów w jednym miejscu nie jest wcale słuszne – rozsądniejsza jest dyspersja. Sprowadzone przed drugą wojną ze spokojnego Raperswilu do Warszawy cenne rękopisy zostały unicestwione. Obecnie mamy archiwa cyfrowe, które mogą gromadzić całe korpusy skanów bez potrzeby ich materialnego przemieszczania, dostęp do nich stał się niemal powszechny. Uważam jednak, że autopsja w pracy edytora jest absolutnie konieczna, skany i cyfrowe fotografie ułatwiają bieżącą pracę, ale ostatnim etapem powinien być zawsze bezpośredni kontakt z opracowywanym rękopisem, z czym, o dziwo, nie wszyscy się zgadzają. Dostęp do artefaktów jest kluczowy, rękopisy mają swoje tajemnice, które ujawnią wzrokowi człowieka, a nie obiektywowi kamery czy szybce skanera. Poza tym istnieje jakaś magia, nie wiem co, bo jednak ma się kartkę czy zeszyt, którą pisarz trzymał w ręku, nosił przy sobie, emanuje ona jego energią – ale nie dlatego, że czujemy jakieś wibracje czy coś podobnego, tylko dlatego, że widzimy dukt pisma, dotyk dłoni podczas pisania. To może być pomocne również w rozgryzaniu rozmaitych zagadek, nieodczytanych zapisów. Kiedy pod koniec pracy zostaje parę rzeczy do sprawdzenia w rękopisie, zawsze jadę do archiwum, do rękopisu, jestem tym ogromnie wzruszony i czuję obecność tego człowieka, pisarza, autora, ale właśnie przede wszystkim człowieka, który kupował te kartki i potem je zapisywał. Mając nierozwiązane zagadki, staram się „telepatycznie” – może po prostu duchowo – wejść w kontakt z osobą, denerwuję się i wkurzam. Pamiętam ostatni tydzień pracy z rękopisem *Raptularza 1843–1849*, zostało wtedy jeszcze kilka nierozstrzygniętych problemów, ale jedna rzecz szczególnie nie dawała mi spokoju. Mianowicie strofa na jednej z końcowych kart z wersem „Dawne Polaka niebieskie pokusy”. O co chodzi? To przecież w ogóle nie ma sensu, siedziałem tam siódmy dzień, byłem już na wyjeździe; w końcu (w myślach, ale dobitnie i ze złością, by nie rzec – z pretensją) mówię tak: „Przecież tu jesteś i sam wiesz, co tam jest napisane i o co chodzi, no pomóż!”. Patrzę na ten zapis i nagle zobaczyłem wyraźnie, przecież tam nie ma w ogóle żadnego „Polaka”, tam jest napisane „Polek”. Naprawdę, żeby przeczytać to jako „Polaka”, to trzeba dodać to końcowe *a*. „...Polek niebieskie pokusy” – tu już się rodzi jakiś sens! Biorę się za pierwszy wyraz i tym razem znowu widzę wyraźnie, że wyraz czytany jako „dawne” to żadne „dawne”. To „wne” jest jednak oddzielone, i żadne tam „wne”, tylko prawie zupełnie wyraźnie „oczu”, czyli w sumie: „Do oczu Polek niebieskie pokusy”. No i jesteśmy w domu, cały epigramatyczny wiersz nagle staje się sensowny. Ale takie „odkrycia” nie zdarzają się często – to przestroga, żeby być czujnym i nie dać się „zaprogramować” utrwalonym w edycjach lekcjom.

Dariusz Pachocki

To jednak jest różnica.

Wojciech Kruszewski

I to spora (*śmiech*). Zdarzają się takie historie i to jest niesamowite.

Dariusz Pachocki

Gdzieś ta wiedza się kumuluje.

Marek Troszyński

W tym przypadku uważam, że może nie tyle wiedza, ile kontakt z duchem autora (*śmiech*), bo naprawdę byłem wtedy już dosyć agresywny, tkwiłem tam, nie mając nic więcej do roboty, tylko szaloną ambicję rozgryźć te irytujące mnie „Polaka niebieskie pokusy”. Siedziałem nad tym cały dzień, już powoli trzeba było się zbierać, a nabuzowany nukam Słowackiego: „Człowieku, no weź, przecież wiesz, co pisałeś!”. To nie wiedza, to jest raczej doświadczenie, ale najstraszniejsze z tego wszystkiego jest to, że jak widziałeś, czytałeś stale tego nienapisanego i nieistniejącego „Polaka”, to widzisz go tam, gdzie go nie ma... Inną rzeczą jest to, że już na pierwszym roku polonistyki profesor Jadwiga Ziętarska zdradziła nam, że najważniejszym narzędziem pracy filologa jest dobry nos, który wie, gdzie węszyć.

Wojciech Kruszewski

Tak, bo to tradycja zasłania.

Marek Troszyński

To utrwalenie fałszywych odczytań i wielokrotne ich powtarzanie w druku... i to jest ta robota do odrobienia, trzeba odczarować masę podobnych rzeczy.

Wojciech Kruszewski

Tak.

Dariusz Pachocki

Przyszedł czas na ostatnie pytanie, które zadajemy wszystkim naszym rozmówcom. Gdyby mógł Pan wybrać jeszcze raz ścieżkę zawodową, to czym by się Pan zajmował?

Marek Troszyński

Byłbym po prostu kucharzem. Profesor Stefanowska świetnie gotowała...

Dariusz Pachocki

Jaka kuchnia jest Panu najbliższa?

Marek Troszyński

Włoska...

Wojciech Kruszewski

Naprawdę ją lubię i umiem robić carbonarę.

Marek Troszyński

To ja zaraz coś Panu powiem...



Marek Troszyński – dr hab., profesor Instytutu Badań Literackich PAN, kierownik Zespołu Edycji Dzieł Zebranych Juliusza Słowackiego IBL PAN. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Podstawą rozprawy doktorskiej była edycja *Raptularza 1843–1849* Juliusza Słowackiego (Nagroda im. Klemensa Szaniawskiego). Od 2000 roku pracownik IBL PAN. Habilitację uzyskał na podstawie tomu studiów *Słowacki. Poza kanonem* (2014). Wykładał na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego oraz w Kolegium Artes Liberales UW. Stypendysta Paryskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego oraz Funduszu im. Stanisława Lama. Prowadził badania archiwalne w Polsce (Wrocław, Kórnik, Kraków), we Francji i w Rosji. Autorski projekt „Korpus Czterech Wieszczów” realizuje wraz ze współpracownikami na Politechnice Wrocławskiej w ramach infrastruktury CLARIN-PL (Common Language Resources & Technology Infrastructure). Uczestnik projektów badawczych, autor opracowań edytorskich – przede wszystkim źródłowych wydań dzieł Juliusza Słowackiego (redaktor naczelny edycji *Dzieł zebranych* w PIW-ie), także *Pamiętników* Władysława Mickiewicza (edycja wyróżniona jako Książka Miesiąca) oraz tomu *Wiersze i ćwiczenia* Czesława Miłosza. Publikował recenzje nowości wydawniczych i inscenizacji dramatów romantycznych w czasopismach „Nowe Książki” i „Teatr”. Wraz ze studentami Artes Liberales współtworzył ośmiogodzinną inscenizację *Króla-Ducha* w reżyserii Łukasza Kosa (Festiwal Nowe Epifanie). Uczestniczył w gruzińskim projekcie teatralnym, przygotowując gruzińską prapremierę *Dziadów* (Tbilisi, 2024), wygłaszając cykl wykładów o polskim dramacie romantycznym na Gruzkańskim Państwowym Uniwersytecie Teatru i Kina im. Szoty Rustawelego.